Dodatek do „Trybuny Akademickiej"

WIADOMOŚCI KRAJOZNAWCZE

POD REDAKCJĄ
EGZEKUTYWY ZWIĄZKU
AKADEMICKICH KÓŁ MIŁOŚNIKÓW KRAJOZNAWSTWA w POLSCE.

Rok III. № 8. Luty 1928 r. Warszawa

M. Działoszycki

Kolonja zimowa Kół Krajoznawczych w Zakopanem

(22.XII 1927 — 2.I 1928).

22 grudnia wyruszyliśmy z Warszawy. W Krakowie przyłączyli się do nas uczestnicy z koła krakowskiego i lwowskiego („Wilno" przyjechało dopiero nazajutrz wprost do Zakopanego). Po 29-godzinnej podróży przybyliśmy na miejsce i zainstalowaliśmy się w pensjonacie „Pod Gubałówką".

Kolonja liczyła ogółem 45 osób. Ze względów technicznych podzielono uczestników na dwie grupy i ustalono program wycieczek w ten sposób, by każda grupa mogła przebyć te same (łatwiejsze) tury.

W ciągu pierwszych dni, podczas wycieczek do dolin (Białego, Za Bramką i in.), kierownictwo badało wytrwałość i zdolności piechurskie uczestników, aby do uciążliwszych wycieczek dopuścić tylko wytrzymalszych. W pierwszej z tych trudniejszych wycieczek — a było ich trzy — przez Halę Gąsienicową i Czarny Staw nad Zmarzły Staw — wzięło udział 26 osób i, z nielicznemi wyjątkami, wszyscy spisali się bardzo dobrze. Dnia 27. XII wyruszono o g. 7. 15 do Kuźnic, gdzie miano się spotkać z przewodnikiem Andrzejem Krzeptowskim. W dolinach pogoda była raczej przykra, mżył drobny deszczyk. Gdy jednak, krótko po wyruszeniu z Kuźnic, wyminięto Boczań, deszcz ustał, ale zaczęło się zanosić na śnieg. Zaczął też padać na Hali Gąsienicowej i sypał obficie, wielkiemi płatami do wieczora. Dało to nam, — w połączeniu z coraz bardziej gęstniejącą i wypełniającą kotliny śródgórskie mgłą, koloru rozwodnionego mleka, — obraz gór w istocie niezwykły, ale też nie pozwoliło doprowadzić wycieczki do końca: musieliśmy zawrócić z odległości 20 minut drogi od Zmarzłego. Śnieg padał tak gęsty, że wszystkie prawie nasze ślady były w powrotnej drodze zasypane. Pomimo jednak dość uciążliwego marszu wszyscy byli tak rześcy i pełni sił, że zjazd z Hali Gąsienicowej do Kuźnic (po drodze zresztą łatwej) odbył się w nastroju conajmniej podniosłym i trwał 50 minut. Po kilkuminutowym odpoczynku w Kuźnicach — tryumfalny powrót do domu.

Po dwóch przemiłych intermedjach — osłonecznionym kuligu w białozłoty mroźny dzień do fantastycznej doliny Kościeliskiej, mozolnem wdrapywaniu się na pękatą Gubałówkę i cudownym zlocie po jej spadzistem cielsku (w zabawach tych wzięli udział wszyscy), wybrała się 29.XII grupa z 17 osób na Ścieżkę nad Reglami. W piękny mroźny poranek ostry marsz do Kuźnic, krótki postój, kilkanaście minut ciemnego lasu — i nagle wypływamy na wielki półmisek słońca: Halę Kalatową. Chwila zachwytu, dwie chwile fotografji, i już wspinamy się zakosami, zrazu małemi, potem coraz większemi na nagi Upłaz Kalacki. Stamtąd zrzadka znaczonem bezdrożem, po kolana i wyżej w śniegu, zmieniając co kilkanaście minut torownika, posuwamy się ku zachodowi jedną z najbardziej uroczych tatrzańskich ścieżyn. Głuchy szum, ogromna cisza, świetliste skrawki nieba na małych halach, zielony mrok lasu, raz po raz następują po sobie. Po kilkuminutowem zatrzymaniu się na Sarniej Skałce rozpoczynamy zjazd do doliny Strążyskiej.

Celem uzupełnienia tej wycieczki odbyła się 31.XII druga wycieczka nad Regle, ale od zachodniego końca. Przez dolinę Małej Łąki dostaliśmy się, idąc długą porębą, na Halę pod Przysłopem, a stąd rzadkim lasem, przeciąwszy ukośnie Halę Małej Łąki, naprzód podłużnym zakosem przez porębę, a potem ścieżką w gęstym młodym zagajniku weszliśmy na Grzybowiec. W ciągu całego marszu po drodze, prawie prostopadłej do północnej ściany Giewontu, czujemy ogrom skalnego złomu, jesteśmy w cieniu śpiącego rycerza. Z Grzybowca śliską, krętą, ale dobrze znaczoną ścieżką zbiegamy — niektóre w tem zwłaszcza celują — do zacisznej doliny Strążyskiej i na tle wyniosłych kominów robimy nasze ostatnie zdjęcie.

Udany pod wszystkiemi nieomal względami „Sylwester" i „lipkowanie" ostatniego dnia zakończyły nasz pobyt na kolonji.

Wracamy do Warszawy ze ściśniętem sercem i ściśniętem ciałem.

ZAKOPANE

POWIEŚĆ POETYCKA (?!)

Z oj-ajów uczestników kolonji zakopiańskiej ułożył **Dorjan Dezerter.**

Rozdział I.

Przedodjeżdzie.

Pamiętny dzień 22 grudnia 1927 r. zapowiadał się od samego rana nadzwyczajnie. Olbrzymi popyt na partje oddzielnie prawych i lewych butów wszystkich wymiarów—począwszy od 10-cio cętymetrowych obydwu kierowników razem do 42 cm. jednej Djany. Pchnięto gońców na dworce: kto odnajdzie zabłąkany wagon wycieczkowy, dostanie obydwie Misfeldówny w nagrodę.

Wobec tego, iż nawet niepełnoletni mają prawo pisania testamentów, fabryki stalówek pracowały na cztery zmiany.

Planowano zaciągnięcie nowej pożyczki amerykańskiej, bo polski rynek pieniężny nie mógł podołać zapotrzebowaniu kapitałów. Pożyczano na gwałt. Zresztą i Homer nie dałby rady temu dniowi, więc kropka.

——

Rozdział II.

Odjazd.

Wieczór. Dworzec. Peron. Para. Tatrzańsko-londyńska mgła. Lampki kierowników, dzwonki osobników z góry Św. Bernarda, piski uczestniczek, nawoływania reszty.

Są wszyscy. Do wagonu! Ona, On. On, Ona, prawda, jeszcze walizki. Nie, walizki naprzód — potem Ona i On. Pożegnanie. Łzy. Mróz. Stalaktyty u rzęs. Adieu! Adieu! Odeszli...

Czekamy. Kiedy ruszy nareszcie? 9 min. 40. Żegnaj, Warszawo! Wzruszenie wagonu udziela się podróżnym i naodwrót. Rusza rzeczywiście? Nie wierzysz? Patrz! — jedzą. No, to rzeczywiście jedziemy. Czekolada, wzajemne przedstawiania się. Kupa ludzi. Dwadzieścia pięć kobiet, nie licząc chłopców, jednego orła i jednego robaksa.

——

Rozdział III.

Podróż.

Noc. Ścisk. Upał. Zapach.

„Gdybym ja była Działeczkiem na siatce!..“ (na nutę popularnej piosenki).

Ale i tak spali. Tłumok na Staśku. Stasiek w Kratce, Kratka na Sztajnach (nie Steinach!), ja—w łóżku.

Świta. Kraków. Nowy szwarceńkostelli bagaż. Po dwóch godzinach c. d. podróży.

Dzień dobry! Widać twarze. No, no! Godziny jadą. Półflircie. Aby już do Zakopanego! Ale najpierw wieczór. Spóźnieni. G. 11.30. Nareszcie!

——

Rozdział IV.

Zakopane.

Noc. Gwiazdy. Rozkosz. Mróz. Marsz po skrzypiącym śniegu. Walizki sobie, sanie też. My też.

Z notatnika poety.

...Ta noc... Długie cienie budynków kładą się przed nami. Droga niby w nieskończoność ucieka. Iść tak... iść... w tę mroźną, księżycową noc... choćby na krańce świata... Ale oto już wyłania się przed nami wyniosły ogrom pałacu. To nasza rezydencja. Tajemnicze księżycowe cienie kryją się w oknach i pod gzymsami oszklonego tarasu... Tu pędzić będziemy nasze dni... jedyne.. Ze skrętu drogi wynurza się malowniczy, długi wąż turystów... i t. d... i t. d.

Ale nawet Horacy
Nic nie zrobi z tacy...
...ze staremi zrazy,

więc nic dziwnego, że kolacja miała przebieg bardziej prozaiczny.

Byle do łóżka!

...I twardy sen zmorzył rozrzucone po dziesięciu pokojach czyste duszyczki przyszłych taterników.

——

Rozdział V.

Motek! Motek!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

——

Rozdział VI.

Strążyska.

I wstało słońce nad Zakopanem dnia owego, który był dniem 24-tym miesiąca grudnia, i oświeciło twarze odświeżone kolonistów (nowy duch wstępuje w panie z wciągnięciem spodni, o panach kronika milczy...).

Ruszamy na pierwszą wycieczkę. Kto nie widział doliny Strążyskiej zimą, temu umierać nie wolno. Neapol, to — zwierzę domowe. To też wszyscy byli pijani śniegiem i górami. Nawet narty Sztajnów — od parady — nie mogły popsuć nastroju.

Wracają w zachwycie.

Jadło rozciągnięte na pauzy śróddaniowe smakuje ponad wszelki wyraz (Żeromski).

Wieczorem gadu, gadu. Komu jak w spodniach, overach, lub butach. Ta ma gwoździe, a ten nie jest mężczyzną... Szkoda, że

on taki głupi... Ona... te nogi... Wogóle—nie.. Owszem, owszem... Niczego... Słuchaj, a może ta?..

No, szczęśliwie śpią. Co z tego będzie?

——

Rozdział VII.

O, perfidjo!!!

Kiedy to w zachwyceniu jestestwa całego kroczyło wszystko wycieczkowe po dolinkach, dwa tylko osobniki zachowały trzeźwość, nie urzeczone czarem przyrody. To on — ten Górski, ten Mały, ten Blondyn, ten Stok i ten drugi — ten Czarny (ciemna gwiazda)—Działek.

Ci patrzyli. Mierzyli kroki. Badali mięśnie. Chytrem okiem głębokość oddechów chwytali, uchem czujnem serca palpitów słuchali. Egzamin, szelmowsko perfidny egzamin. Z pośród Bogu ducha winnych dolinkiewiczów ofiary dla trudniejszych wycieczek wybierali.

Wyszło to na jaw dnia czwartego. Ogłoszono, kto będzie zabrany na Halę (Gąsienicową Halę). Nic nie pomogło, naprożno Rycerz przekonywał, że może..., że stękał wtedy z... zachwytu. Nie uwierzyli. Naprożno Cwajżanki błagały. Nic—mur—Giewont — ten kierownik. Nawet protekcja zawiodła.

——

Rozdział VIII.

Hala Gąsienicowa.

Patrz strona 1 i 4.

——

Rozdział IX.

Kierownicy.

Przyzwoitość wymaga, aby rozdział cały poświęcić kierownikom.

Wielkość rozdziału—skromna. Nic dziwnego. No więc kierownicy.

Numer I. **Działek:** Duży. Wąsów brak. Sweter, buty i latarka.

Oznaki szczególne: Je czekoladę. Śpi dobrze. Pozatem Katon i ma siostrę.

Numer II. **Stok:** Nie, nie kocha się. Czapka narciarska.

Oznaki szczególne: Szuka Działka.

——

Rozdział X.

Pokraki.

Nie, nie można.

——

Rozdział XI.

Cholery.

Brak.

——

Rozdział XII.

Bohaterowie.

Djana-łowczyni i Mietek-łowca (posągowy).

——

Rozdział XIII.

Inwentarz.

Reszta.

——

Rozdział XIV.

Wycieczka na Aparat.

Nie Ararat. Broń Boże. Aparat. Zwykły, fotograficzny. Właściwie, to się szło „Nad Reglami". Przypuśćmy! Kto nad, kto pod. On—pod. Ale nietylko on. Otóż było: Na półmisku (jak powiada Motoszycki) Hali Kalatowej stanęła Sztajnowa maszyna. Pstryk, pstryk i mają dosyć. Z tryumfem do domu:

Jak dobrze nam po wielkich szczytach..

Można i tak. Ale niektórzy byli jednak „Nad Reglami." At tam!.. Śnieg, niebo, góry, słońce. Radości życia! Naprzód! W górę! „*O młoda piersi raduj się!..*

Ale zejście!.. Kto na nogach, a kto nie; kto na krzyżu, kto nosem się podpiera. Różnie bywa...

Ale jak się je i śpi po wycieczce!

——

Rozdział XV.

Poszedł Marek na Jarzynkę...

Poszedł nie sam. Dziewięć niewiast na czele. Coś tam było z gwizdaniem. Najpierw Działka na Marka, a potem niewiadomo.

...Przechodniu zatrzymaj się i zmów półpacierza

Djana warszawska stoi jak wieża.

I oto na cyplu najwyższym nizko, coprawda, położonej doliny dotąd podziwiać można wysmukłe kształty dziewiczej bogini.

——

Rozdział XVI.

Sylwester.

Tak więc mijały dni błogie, beztroskie, zakopiańskie... Aż wreszcie! On! Ten oczekiwany! Ten upragniony, ten przez rok cały marzony — Sylwester. Pomyślcie — Sylwester w Zakopanem!

Apostrofa.

Bogowie, dajcie natchnienie! Niech mi się pióro nie złamie, niech nie zawiedzie fantazja, gdy pisać będę o nim, o tym wieczorze, kiedy niewiasty w warszawskie suknie odziane, kiedy kierownik w krawacie, gdy patefoncio czarlstoni, kiedy... kiedy... kiedy...

Zaczynam! Wieczór 31 grudnia, godzi na 10-ta—bąk śpi, godzina 11-ta—bąk śpi, (świeżo wyglądać!), godzina 11.30 — Aa, aa... pobudka, pobudka—wstać!

Nowy Rok przyjęto prywatnie. W pidżamach. O godzinie 12.30 wszyscy już są w Kolumnowej Sali.

Godzina 1-sza. Dekoracja pierwsza (pozycja pionowa).

Obrusy. Owoce. Jadło. Likiery. Wieczorowe suknie. Ciemne garnitury. Wiwaty. Szwesterszafty.

Godzina 2-ga. Dekoracja druga (pozycja pozioma).

Leży. Wszystko leży. Jadło w przewodach pokarmowych, kielichy na obrusie, młodziany pod stołem. Wesoło.

Godzina 3-cia. Dekoracja trzecia (pozycja jakaś).

Wycieczka pod gwiazdami. Pysznie. Nie, nie, nie mogę.

——

Rozdział XVII.

„Hejże hej, hejże hej..."

I przyszedł dzień powrotu. Ile westchnień i żalów — nie zliczysz poeto! Wagon rozbrzmiewa śpiewem i zgrzytaniem zębów (chleb z kiełbasą). Ciasno, bo ciasno! Objętość każdego w dwójnasób zwiększona (wrażenia, sympatje), a w Krakowie odebrano nam wagon. Co robić. Sto osób w wagonie. Gdzie noga, gdzie ręka? Żywe futureski. Działko w przedziałce. Pachnie, no trudno. Ciężka jazda, ale aby najdłużej. Przecież ostatnie to chwile.

Żegnaj Szwarceńka, szalonym z miłości!...
O, Zakopane, o... o... o!...

——

Epilog.

A ja tam nie byłem i wina nie piłem
Wąsów nie mam, plotek narobiłem!

Przez Halę Gąsienicową nad Zmarzły Staw

Świta. Ciszę poranną przerywa ciężki, żołnierski tupot nóg i uderzenia kijów. Na horyzoncie, odcięty wielką, skrzącą się płaszczyzną śniegową, rysuje się pogodny Giewont. Wyciągnięta pod sznur droga pnie się łagodnie do stóp łysego Boczania, biała, skrząca się w promieniach słońca; u kresu jej wartki potok walczy z mrozem. Z hukiem i szumem rozbijając twardą powłokę lodową, wznosi tuman pyłu wodnego, bielącego konary smutnych świerków nadbrzeżnych.

Z lekkiej mgły wyłania się dziwny twór skalny — to potworny, śmiejący się Nosal. Kamienista ścieżka, usłana skalnym druzgotem, gdzieniegdzie przerwana potężnemi, pokracznie skręconemi konarami wiekowych świerków, pnie się monotonnie w górę, ukazując nam bądź wielką płaszczyznę doliny Zakopanego, bądź potężny Giewont, otoczony bracią mniejszych szczytów.

Niewinne dotąd druzgoty skalne, wałęsające się pod nogami, rosną, przybierają rozmiary głazów i potwornych zwalisk morenowych, zawisłych fantastycznie nad urwiskiem góry, oplątanych miejscami potężnemi konarami drzew. Zbliżamy się do Hali i doliny Stawów Gąsienicowych. Stare zczerniałe od wichrów i czasu szałasy, rozrzucone wśród potężnych zwałów skalnych i kęp kosówki, ciemnemi plamami kładą się na olbrzymiej płachcie śnieżnej. Wokoło przysłonięte lekką mgłą Wysokie Tatry w całej swej grozie i majestacie, przed nami — ścięty lodem Czarny Staw.

Okrążamy go, podziwiając potęgę wznoszących się przed nami szczytów. Podnosi się mgła. Odrywając się od ziemi, unoszą się w powietrzu groźne, poorane zmarszczkami i ranami wieków Fajki, Granaty, Kozi Wirch, Żółta Turnia, Kościelec, Zamarła Turnia i hen, na horyzoncie, czeskie góry. Za chwilę zginą we mgle.

Gęsta srebrna białość wkrada się w rynny i załomy górskie, pnie się wyżej i wyżej, opasuje groźne, biało-szare potwory skalne. Wokoło biały całun, za nim majaczą ciemne, mgliste kontury szczytów, nad nami rozdarcie we mgle ukazuje ostro zarysowany na tle nieba czub Fajek.

Wspinamy się po ścianie. Ciszę przerywa stuk butów, wybijających stopnie w twardej szreni; czasem stłumiony mgłą, przeciągły gwizd przewodnika. Pniemy się wyżej i wyżej: pod nami lody Czarnego Stawu, nad nami pas mgły, opasującej szczyty. Przekraczamy stromy próg i stajemy na płaszczyźnie skalnej, usłanej rumowiskiem.

Powoli opadają mgły, otulając nas podstępnie. Ściemnia się. Schodzimy po śladach. Z za szarej mgły widnieją niewyraźne, niebieskawe obrysy szczytów, ciemniejąc, przybierają barwę stali i o zmroku grają nową symfonją tonów czarno-fjoletowych.

Wprost nas majaczą trzy ciemne postacie; mijamy się — to turyści z torbami i linami: twarze skupione, ascetyczne, zapatrzone w dalekie, ginące szczyty. Schodzimy, potykając się w ciemności o głazy. W pewnej chwili wychodzimy z obszaru mgły, kończącej się raptownie, jak ostrem cięciem noża. Za nami gęsta, zwarta, szara ściana, przed nami góry; cała gamma odcieni szaro-granatowych. Wesoły Nosal zmarkotniał, pociemniał, monotonny Boczań błyszczy nagiemi scianami. Jesteśmy u kresu; schodzimy w dolinę. Groza i majestat granitowych szczytów Wysokich Tatr pozostawiły głębokie, niezapomniane wrażenie.

Edw. H.

„Kolonja" w Zakopanem, grudzień 1927.

Z działalności Ż. A. K. M. K. Kraków w r. 1926/27.

Najsilniejszą działalność rozwijała w ciągu r. 26/27 *Sekcja przemysłowa*. Urządzono wycieczek 19, z ogólną liczbą uczestników 467, w okręgu Krakowskim, jak i poza Krakowem. Do ciekawszych należą: wycieczka do Zagłębia Górnośląskiego (12 uczestników), do fabryki lokomotyw w Chrzanowie i do Małopolskiej Fabryki Szkła w Szczakowej (20 ucz.). Nadzwyczajną frekwencją cieszyła się wycieczka do Trzebini (44 ucz.), gdzie zwiedzono hutę cynkową, walcownię blach cynkowych, rafinerję nafty i odlewnię żelaza. Z mniejszych wycieczek ciekawą była wycieczka do elektrowni miejskiej (36 ucz.), którą poprzedził referat o maszynach elektromotorycznych Pozatem odbyły się wycieczki do fabryki Zieleniewskiego (48 ucz.), do elektrycznej piekarni „Ziarno" (20 ucz.), do fabryki czekolady Suchard (31 ucz.).

W bieżącym roku wycieczki przemysłowe będą ujęte w cykle. Jeden taki cykl już zorganizowano. Był nim cykl przemysłu drukarskiego, który obejmował wycieczki do „Pałacu Prasy" (55 ucz.), najbardziej nowocześnie urządzonej drukarni gazet w Polsce, wycieczkę do „Ryngrafu", cynkowni i zakładów litograficznych i do drukarni „Sztuka".



Kolonja Zimowa Kół Krajoznawczych w Zakopanem.
Wąwóz Kraków. Fot. Herstein



„Kolonja" na Lipkach. Fot. Herstein.

Sekcja turystyczna, oprócz większych wycieczek, jak dwukrotnie do Warszawy, w Pieniny (12 ucz.) i do Ojcowa (15 ucz.), urządzała w każdą pogodną niedzielę wycieczki w okolice Krakowa: do Bolechowa (18 ucz.), Minkowa (20 ucz.), Tyńca (15 ucz.), Lanckorony (10 ucz.) i t. d., zaś w porze zimowej kuligi saneczkowe do Przegorzał. Podczas ostatnich ferji urządzono kurs narciarski, cieszący się znaczną frekwencją.

Sekcja Sztuki i Kultury Żydowskiej urządziła wycieczkę do dzielnicy żyd. Krakowa.

Giza Dortheimerówna

Smutne dobrego początki, a koniec żałosny czyli Kurs Narciarski Koła Krakowskiego



Śnieg pada! Śnieg prawdziwy, zdawna oczekiwany. Hejże i do nas zawitała wreszcie piękna śnieżna zima! Sceptycznie patrzymy przez dzień cały na te obfite duże płatki, z trwogą budzimy się zrana, czy jeszcze ciągle biało przed oknami. Ale tym razem niema żartów.

Trzy dni i trzy noce bez przerwy sypie, nuże więc wykorzystać piękny czas, rozruszać się po pracy i wypróbować swe siły. W amerykańskiem tempie komunikujemy się z instruktorem, kupujemy narty, przyjmujemy zgłoszenia, odbywamy zebranie informacyjne dla uczestników kursu.

I już następnego ranka o godz. 9-ej stoimy w pełym rynsztunku w „Cichym Kąciku". Wielki zapał i jeszcze większa odwaga! Nawet zbolałe od dźwigania ciężkich nart ramiona nie potrafią wpłynąć na zmniejszenie naszego animuszu. A oto i nasz mistrz. Nadjeżdża szybko i zwinnie, — jak nam sie zdaje, trudnym stylem narciarskim. Krótkie pozdrowienie „narciarskie" i zaczynamy lekcję. „Ustawić się rzędem i uważnie patrzeć" — brzmi komenda. W mig, oczywiście „narciarski" (przydługie nogi), wykonujemy rozkaz. Przed naszemi oczami mistrz wykonuje wspaniałe ewolucje. Jakimś niepojętym ruchem obraca lewą nogę i stawia ją równolegle do prawej, tak że koniec jednej narty schodzi się z początkiem drugiej. A potem jeszcze jeden ruch kijkami i drugą nogą, no i obrót gotowy. W skupieniu ducha, pomału, ociężale zaczynamy ćwiczyć obrót. Jakież te narty długie! Stanowczo trzebaby je przed obrotami skrócić. Nie tracimy jednak czasu i ćwiczymy zażarcie. „Za mną długiemi wypadami naprzód". Oto nowy problem do rozwiązania: nogi wraz z nartami suną zbyt prędko naprzód, tracimy równowagę i padamy na miękki śnieg. Przekonujemy się z radością, że wywrócenie się na nartach jest wcale miłem i, pomimając ewentualne przemoczenie ubrania, nie daje się we znaki. Całe szczęście! W naszej bowiem późniejszej edukacji stosowaliśmy zjeżdżanie na wszystkich możliwych częściach ciała i ubrania — ze względu na to, że narty są własnością Koła i że należy je szanować. Szybko ćwiczymy wypady, następnie „Dreitakt" i jeszcze inne różnorodne sposoby chodzenia po równym terenie. Nogi i ręce już bolą, ale, rozumie się, nikt się do tego nie przyzna. O godzinie pierwszej pozwala nam mistrz wreszcie wrócić do domu.

Środa. Budzę się: godzina 7 rano. Uff! Przecież o godzinie 9-ej druga lekcja jazdy na nartach! Narty to piękny sport, ale któż widział uprawiać sporty w zimie, kiedy i chłodno (— 15°C) i ciemno i tak strasznie śpiąco. A jeszcze te nogi i ręce po wczorajszej lekcji! Zapomnę choćby na chwilę o ciężkim obowiązku i spróbuję spać. — Cóż to? Na nogach wyrastają mi długie narty coraz dłuższe i dłuższe — — A wtem nagle ostra komenda „Wtył zwrot". Włosy stają mi dęba na głowie, koniecznie chcę nogę podnieść, pomagam sobie rękami, uzbrojonemi w kijki, i — — leżę na ziemi, tym razem mniej miękkiej, mimo dywanu.

Wolę przecież jazdę na nartach na jawie, wobec czego zbieram się, zakładam prawdziwie po narciarsku narty na ramiona i dumnie kroczę przez miasto do naszego punktu zbornego. Przyznam się Wam w wielkiej tajemnicy, że miny zrzedły, choć oczywiście nikt nie jest absolutnie zmęczony. Wszyscy czują się świetnie — póki nie przypinają nart. Trudno, życie nie jest wiązanką poematów, jak mówi Shaw, a trzeba płacić, jeżeli się chce spacerować po mieście w kostjumie narciarskim i udawać zucha. Ubieramy narty, powtarzamy prawidłowe wywracanie się, nie—obrót! — następnie długim szeregiem ruszamy śladem (dosłownie) naszego kierownika. Przejeżdżamy przez mostek, przechodzimy przez kolczaste druty, wreszcie po długiem a uporczywem zjeżdżaniu wstecz wkraczamy na pagórek. Jest piękny słoneczny dzień, dookoła biało, pogodnie. Odpoczywamy po wysiłku i znów słuchamy uważnie słów kierownika o technice zjeżdżania. Cóż łatwiejszego nad zjechanie z łagodnego stoku? Odważnie wysuwa się naprzód jedna z uczestniczek kursu, staje w postawie zasadniczej i rusza. W arcyzabawnej pozycji z tułowiem silnie naprzód wysuniętem dojeżdża do połowy stoku, a wtem... jeden kij w lewo, drugi w prawo, głowa w śnieg, prawa narta nad, lewa noga pod głową, rękawice daleko w dole. Exemplo moniti nie pojedziemy już tędy, ale obok, by się nie wywrócić. Cóż kiedy nie my jesteśmy panami naszych nart, które niosą nas właśnie w stronę grobowca, wykopanego przez naszą bohaterkę. Jedno za drugiem dojeżdża do tego fatalnego miejsca i w najcudaczniejszy sposób się wywraca. „To moja noga", „to moja narta", „gdzie mój kijek", „rękawiczka", krzyczy wśród nieustających salw śmiechu jedno przez drugie. Ale jak tu wstać teraz? Ledwo sprobuję się dźwignąć, a już narty zjeżdżają w dół. Łatwiej upadać, niż pod-

nieść się z upadku, oto wielka prawda życiowa, a kto nie wierzy, niechaj się uczy jeździć na nartach. Trzeba się położyć na śniegu, obrócić tak, żeby narty były prostopadłe do stoku, a potem dopiero wstać. Tak, długie są dzieje naszej martyrologji! Mimo wszystko mistrz jest z nas zadowolony: oznajmia nam, że sprawujemy się dobrze, że jutro pójdziemy na wycieczkę na Bielany, a później już możemy iść w góry, bodaj do Morskiego Oka i to ewentualnie, gdyby nam sanie były za drogie, na nartach.

Z tryumfem i niesamowitym apetytem wracamy do domu, podziwiani oczywiście przez solidnych mieszkańców naszego poczciwego Krakowa.

Czwartek 22. XII. 1927.

Dziś wycieczka, członki już i tak bolą, toteż trzeba ekonomicznie się obchodzić z zapasami energji. Wyjeżdżamy więc saniami do punktu zbornego. Mróz siarczysty (— 25°C.); woźnica, ubrany w ogromne futro, pokryte całe szronem, wygląda jak wielka góra lodowa. Mimo ciepłego ubrania czujemy zimno. Z przyjemnością — co za postęp — wkładamy narty i pędzimy przez Błonia do „Cichego Kącika".

Tego dnia sprawujemy się bohatersko: prosimy mistrza, aby szybko ruszał, i idziemy za nim w równych odstępach, już także wykwintnym stylem narciarskim. Po blisko dwugodzinnym marszu jesteśmy u celu wycieczki, na wzgórzu. Nawet piękny widok nie zdoła rozproszyć obawy na myśl zjechania z tego stromego zbocza. Przybieramy srogie miny, byle tylko nie widać było strachu. Ale nie taki djabeł straszny jak go malują, zjeżdżamy raz i drugi, a potem już bez przerwy przez dwie godziny ćwiczymy i łuki alpejskie i telemarki i krystjanie. Szumnie to brzmi, ale przy sporej dozie dobrej woli możnaby się ewentualnie choćby pierwocin tego wszystkiego dopatrzeć. Po solidnej pracy wracamy w dół. Teraz, po tych ciężkich trudach, czujemy się zupełnie pewnie na nartach, wiemy nawet, jak kiedy jaki krok zastosować. „Jutro odpoczynek, a pojutrze całodzienna wycieczka". Z prawdziwą ulgą oddychamy. Doprawdy, wszyscy mamy chwilowo dość.

A więc do pojutrza!

I tak skończył się nasz kurs narciarski, bo „jutro" bylo ciepło, a „pojutrze" nawet błoto, a dotąd ani śladu śniegu.

Nasze wiadomości, z takim trudem zdobyte, przydadzą się nam w najbliższych dniach na wycieczce w Tatry, a o tem, jak się nam w górach wiodło, dowiecie się w następnym numerze. A chcecie się zdrowo i serdecznie uśmiać i przeżyć kilka pięknych, beztroskich chwil, to jedźcie z nami w góry.



Dr. med. Rafał Becker (Otwock—„Zofjówka")

Wrażenia z podróży po zakładach psychiatrycznych na Pomorzu i w Poznańskiem

I.

Życzenie redakcji, bym dał szkic moich spostrzeżeń i wrażeń o zwiedzonych przeze mnie zakładach dla umysłowo-chorych na Pomorzu i w Poznańskiem, spełniam tem chętniej, że opis tego rodzaju zakładów może się przyczynić do lepszego zrozumienia w szerszych kołach społeczeństwa istoty zaburzeń psychicznych, a także i do usunięcia niejednego przesądu zakorzenionego odnośnie do działalności podobnych zakładów.

Jest to tem bardziej pożądane ze względu na to, że psychiatrja właściwie od niedawna dopiero uchodzi za równouprawnioną gałęź wiedzy medycznej i jeszcze przed 50 laty była traktowana po macoszemu jako coś podrzędnego. W następstwie tego minimalnie interesowano się losem tych nieszczęśliwych istot, i tylko stopniowo utorował sobie drogę pogląd, że są też chorymi, zasługującymi na troskliwą opiekę, która w pewnych warunkach może dać nawet wyniki dodatnie.

Powszechnie znanem jest zjawisko, że im wyższy jest poziom kulturalny danego kraju, tym lepiej jest w nim postawiona opieka nad fizycznym i psychicznym stanem obywateli, i można bez przesady twierdzić, że stopień opieki nad umysłowo-chorymi w danym kraju może służyć jako miernik jego poziomu kulturalnego.

U nas w kraju sprawa opieki nad umysłowo-chorymi niestety nie stoi jeszcze na należytej wysokości. Przeszło 12.000 umysłowo-chorych (większa część ich ogólnej ilości) wałęsa się po kraju. Pozostawieni są własnemu losowi, nie znajdując nigdzie ani pomocy lekarskiej, ani też jakiejkolwiek racjonalnej opieki ze strony swojego najbliższego otoczenia lub społeczeństwa. Pod tym względem najbardziej upośledzona jest ta część naszego kraju, która znajdowała się pod zaborem rosyjskim, gdzie najwięcej daje się we znaki brak odpowiednich zakładów. Również w Galicji daje się odczuwać ich brak, jakkolwiek w nieco mniejszym stopniu. Najlepiej sprawa ta stoi w b. dzielnicy pruskiej, w której zakładach znajduje schronisko nawet znaczna część chorych pochodzących z Kongresówki i Małopolski.

Z tych zakładów zwiedziłem: 2 na Pomorzu i 2 w Poznańskiem. Największy z nich i najbardziej nowoczesny jest bezsprzecznie zakład

psychjatryczny w Kocborowie pod Starogardem na Pomorzu. Zakład ten, przedstawiający samodzielny majątek, położony jest tuż przy kolei w odległości 1,5 klm. od miasta Starogardu. Majątek ten obejmuje obszar 326 ha., z czego 209 ha. gruntu uprawnego, 19 ha. placu zabudowanego. Reszta zaś zajęta jest przez sady i ogrody warzywne, park i pola. Na tym terenie wystawiono 24 pawilony dla chorych, z których każdy przeznaczony jest na 60 chorych.

Ten zakład, który obecnie uchodzi za jeden z największych w kraju, został otwarty dnia 31 grudnia 1891 r. Mieści obecnie około 1400 umysłowo-chorych. Powyższe pawilony urządzone są podług najnowszych wymagań nauki i techniki. Nawet chorzy trzecio-klasowi korzystają tu ze wszelkich możliwych udogodnień jak n. p. ładne i słoneczne sypialnie, jadalnie i bawialnie. Pawilony zaś, przeznaczone dla chorych pierwszej i drugiej klasy, urządzone są z największym komfortem i wywierają wrażenie pierwszorzędnego sanatorjum. Krat nigdzie nie widać, z wyjątkiem pawilonu, przeznaczonego dla umysłowo-chorych kryminalnych przestępców, gdzie okna są zabezpieczone. Każdy z pawilonów posiada osobny ogród wielkości jednej morgi, gdzie chorzy mogą wygodnie i bez przeszkód odbywać spacery.

Wszystkie aleje obsadzone są drzewami. Szczególną uwagę zwrócono tu na urządzenia parkowe t ogrodowe. Praca w ogrodach i na polu wykonywana jest przez chorych. Leczeniu przy pomocy pracy przypisuje się tu szczególną wagę. Wszystkie roboty rolne, w lesie, w oborach, w inspektach i w cieplarni prawie wyłącznie wykonywane są przez chorych.

Pozatem znajduje się tam specjalny pawilon, wyposażony we wszelkiego rodzaju warsztaty pracy, gdzie chorzy pracują pod fachowym kierunkiem majstrów. Zasadą tam jest, że chory nie powinien być przez dłuższy czas trzymany w łóżku i wegetować, pozbawiony wrażeń i zainteresowań. Zupełnie nieskrępowany, pracuje w polu lub też w warsztacie i uczy się być pożytecznym członkiem społeczeństwa. Do jego nieskoordynowanego życia i myślenia wprowadza się pewien ład i budzi się w nim poczucie obowiązku i co za tem idzie radość i zadowolenie z życia. Wracają sen i apetyt, a zarazem dobre samopoczucie. Praca odciąga chorego od jego urojeń, i w miarę tego jak w nim się budzi świadomość jego wartości społecznej, przestaje być cieżarem dla swego otoczenia.

Przez taką racjonalną organizację pracy, która uwzględnia prawie wszystkie gałęzie rzemiosła, osiąga się cel podwójny. Z jednej strony daje się w ten sposób choremu, opuszczającemu zakład, możność zostania pożytecznym i wykwalifikowanym robotnikiem, z drugiej strony tworzy się źródło dochodu dla zakładu, które czyni go bardziej samowystarczalnym.

Zakład w Kocborowie podobnie jak i drugi zakład psychiatryczny w Świeciu na Pomorzu, o którym dalej będzie mowa, należą do Pomorskiego Krajowego Związku Komunalnego. Godnym zaznaczenia jest fakt, że zapomoga, otrzymana przez zakład w Kocborowie z głównej kasy krajowej na pokrycie niedoboru, w ostatnim roku sprawozdawczym (1925) miała wynosić według budżetu 230.177 złotych, okazała się za dużą i została zredukowana do sumy 19.000 zł. Świadczy to najlepiej o doniosłej roli, jaką racjonalne użytkowanie własnych sił zakładu odgrywa w jego budżecie. W Kocborowie na 1346 pacjentów, którzy się znajdowali w zakładzie w roku 1925, pracowało przeciętnie dziennie: mężczyzn 362, kobiet 307, razem 669 chorych, co stanowi blisko 50%.

Prócz wymienionych zabudowań zakład posiada jeszcze cały szereg budynków, mieszczących personel pielęgniarski i urzędników zakładowych. By służbę męską przywiązać więcej do miejsca, urządzono dla nich osobne domy służbowe, gdzie mogą urządzić się wraz z całą rodziną. Służbowe mieszkanie poszczególnej rodziny urządzone jest w ten sposób, że może mieć pod stałą opieką 2 chorych.

Zakład posiada własną elektrownię, która dostarcza nietylko światła, lecz równocześnie zaopatruje zakład w wodę i wprawia w ruch motory w kuchni i pralni, gdzie znaczna część czynności odbywa się drogą mechaniczną. Pozatem do dyspozycji chorych znajduje się specjalny basen do pływania, w którym można dowolnie regulować temperaturę wody. Mają też salę koncertową i własną orkiestrę. Co drugi tydzień odbywają się tam koncerty, przedstawienia albo zabawy taneczne.

Zakład jako całość wraz ze swoim personelem pielęgniarskim i sztabem urzędniczym liczy koło 2000 ludzi i wywiera wrażenie doskonale zorganizowanego miasta, prowadzącego odrębne i pracowite życie. Zakład posiada własną rzeźnię, lodownię i nawet własny cmentarz, gdzie zmarli chowani są w różnych częściach podług wyznań.

Na tej samej wysokości co strona administracyjno-gospodarcza utrzymany jest dział sanitarno-medyczny, który też prowadzony jest w sposób wzorowy.

Czystość wszędzie jest nadzwyczajna i nawet na oddziałach dla chorych niespokojnych i niechlujnych warunki higieniczne nie pozostawiają nic do życzenia.

Z dużym nakładem pracy zorganizowane są też urządzenia naukowe. Z wielką miłością i zupełnie uzasadnioną dumą pokazywał mi nadzwyczajnie uprzejmy i całą duszą swemu zakładowi oddany dyrektor zakładu, D-r. Stanisław Kryzan, laboratorjum chemiczne, salę sekcyjną, gabinet dentystyczny i niezmiernie bogatą bibjotekę naukową. Oprócz tego znajduje się w zakładzie dobrze wyposażona bibljoteka beletrystyczna zarówno dla chorych jak i dla personelu zakładowego.

Wszystko razem wzięte daje obraz zakładu w całem tego słowa znaczeniu wzorowego, odpowiadającego wymaganiom nowoczesnej psychiatrji.